Nr. 14. Lwów, Poniedziałek dnia 5. Kwietnia 1891. Rok IX.

Dodatek literacki do „Kurjera Lwowskiego”

Noc niespokojna.

Humoreska **Marka Twaina.**

Poszliśmy spać o g. 10 tej wieczorem, ponieważ na drugi dzień równo ze świtem mieliśmy zabierać się z powrotem.

Zapaliłem świecę, a Harris w tejże chwili zasnął. Cierpieć nie mogę ludzi, którzy zasypiają, skoro tylko głowa ich dotknie poduszki. Co więcej znajduję, iż to oznaką jest złego tonu i może być w wysokim stopniu niedelikatne w obec towarzysza sypialni, który zdolności podobnej nie posiada.

I ja także rzuciłem się na pościel, wstrzymując uczucie złości na Harrisa i starałem się zasnąć. Im więcej wszakże się starałem, tem płonniejsze były moje usiłowania. Gdy świeca zgasła, poczułem się zupełnie samotnym (pomimo, iż obiad był wcale dobry, a wino paradne) a stąd umysł mój zaczął pracować i niespokojnie i nieporządnie... Przez głowę przechodziły skrawki jakichś myśli, które gorączkowały mię coraz bardziej... Wkońcu mózgiem moim wstrząsał jakby jakiś uragan i czułem się najzupełniej zmęczonym i znużonym do takiego stopnia, iż w tym samym czasie byłem na jawie i pogrążałem się w jakieś senne marzenie.

Zdawało mi się, iż unoszę się w jakichś nieoświetlonych i nieznanych mi przestrzeniach i że potem spadam na dół na złamanie karku. Cały drżący budziłem się i znów zaczynałem drzemać i znów czułem, jak lecę w kamienistą przepaść. Pomału jednak przyzwyczaiłem się do owej karkołomnej podróży, pogrążałem się coraz bardziej w drzemkę, która stawała się coraz głębszą i głębszą i przeszłaby w sen prawdziwy, błogosławiony, wzmacniający, gdy wtem...

Drzemiące już czucie obudziło się znowu i powróciła doń zdolność odbierania wrażeń. Zdawało mi się, iż z jakiegoś dalekiego, nieskończenie dalekiego punktu do mnie coś się zbliża. Owo coś rosło, rosło aż zmieniło się w dźwięk niejasny, który zaledwie uchwycić było można. Odgłos ten był podobny do szmeru ucichającej już burzy, a dochodził jakby z po za dziesiątków mil. Potem stał się bliższy i przypominał stuk kół w jakiejś fabryce dalekiej. Potem zbliżał się jeszcze i jeszcze.. Być może, iż to cały pułk żołnierzy szedł przez ulicę równym miarowym krokiem... Wreszcie dźwięk odzywać się zaczął już w moim pokoju. I cóż? Było to skrobanie myszy za listwą od podłogi... Trudno mi było powstrzymać uśmiech... A więc to taka drobnostka zmuszała mię do zatrzymywania oddechu i drżenia ze strachu?...

Niema co mówić, potrzeba było czemprędzej zasnąć, aby odzyskać czas utracony. Napróżno jednak wytężałem wszystkie usiłowania. Pomimo woli, prawie bezwiednie przysłuchiwałem się temu, co robiła mysz i to właśnie skupienie uwagi było i nieprzyjemne i męczące. Stałoby się ono może znośniejsze, gdyby mysz nie przerywała sobie zajęcia, a tak daleko więcej cierpiałem podczas oczekiwania i przysłuchiwania się w przerwach, niż w samym trakcie wszczętej w tak niewłaściwej porze przez myszkę pracy.

Stan taki, do wytrzymania trudny rozdrażnił mnie niepomiernie. Gotów byłem obiecać pięć, sześć, dziesięć dolarów temu, kto mnie wybawi od nieznośnej myszy. Wkońcu oddawałem memu wybawcy wszystkie kopalnie Kaliforni, (w tej chwili zapomniałem, iż one nigdy nie należały do mnie i według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy należeć nie będą).

Zatykałem uszy, chowałem głowę pod poduszkę, zawijałem się w kołdrę, lecz wszystko daremnie. Rozdrażnienie nerwów doszło do tego stopnia, iż uszy moje zmieniły się na prawdziwy mikrofon, odtwarzający dźwięki z niesłychaną jasnością i siłą. Gniew mój wzrósł aż do wściekłości i nakoniec zdecydowałem się zrobić to, co każdy na mojem miejscu. Postanowiłem ugodzić czemkolwiek niewidzialnego wroga, podniosłem z podłogi moje buty myśliwskie, potem usiadłem na łóżku i przysłuchiwałem się, starając się określić miejsce, skąd dochodziły mnie dźwięki. W żaden sposób atoli nie mogłem tego uczynić, ponieważ zarówno jest trudnem powiedzieć skąd wychodzi skrobanie myszy, tak jak ćwierkanie świerszcza... Myślisz, że on tu a tu, a tymczasem za chwilę odzywa się zupełnie skąd inąd. Dlatego też rzuciłem butem bez planu, tak sobie, anuż się uda...

Na szczęście siła rzutu była zbyt energiczną; but uderzył w ścianę akurat nad głową Harrisa. Nigdy nie myślałem, iż go dorzucę tak daleko. Naturalnie obudziłem mego współtowarzysza i ucieszyłem się z tego. Myślałem, że się rozgniewa, lecz Harris zamilczał, wskutek czego zrobiło mi się jakoś smutno. Wkrótce zasnął znowu, a ja już prawie byłem uspokojony, kiedy mysz zaczęła znowu swe harce, co mnie znów rozgniewało na nowo.

Wcale już, a wcale nie chciałem budzić Harrisa po raz drugi, lecz ponieważ skrobanie nie ustawało, zmuszony byłem rzucić i drugi but. Na ten raz trafiłem w lustro. Było ich dwa w pokoju i z pewnością rozbiłem większe. Harris znów się obudził i także nie powiedział ani słowa, co dla mnie stało się jeszcze boleśniejszem. Raczej wszystkie męki znosić, aniżeli zaniepokoić go raz jeszcze...

Bombardowanie butami i rozbicie lustra osiągnęły wszakże cel zamierzony. Mysz umilkła, a ja

---

ze swej strony dopomódz ci w twych kłopotach. Mam przyjaciółkę w Normandji, która weźmie jak najchętniej na cztery lata za opłatą pięciuset franków. A w sąsiedniej wiosce, w Delivrande znajduje się zakład dla sierot, gdzie córeczka wasza otrzyma bardzo staranne wychowanie za tysiąc franków.

— Dziękuję pani serdecznie. Jutro wręczę ci pieniądze.

— A teraz pocałuj córeczkę, którą zabiorę do siebie na noc — rzekła pani Lureau, podając mu dziecko.

Eugenjusz cofnął się z przerażeniem.

— O nie, nie! — zawołał pospiesznie.

— Dla czego?

— Dla tego, że stała się powodem śmierci Pauliny.

Po odejściu kobiety Eugenjusz usiadł za stołem i nie tknąwszy zastawionej kolacji, pogrążył się w głęboką zadumę.

Nie wesołe zapewne myśli musiały krążyć mu po głowie, bo czoło przecięła głęboka prostopadła zmarszczka, a szeroko rozwarte źrenice tkwiły nieruchomie w jednym punkcie. Od czasu do czasu dreszcz konwulsyjny wstrząsał całą jego postacią. Wsłuchiwał się w ciszę. Nagle głębsze jeszcze przerażenie odmalowało się na jego twarzy, za drzwiami dały się słyszeć kroki i głos przyjazny zapytał:

— Gages, czy jesteś w domu?

— Pan Piotr! wyszeptał Eugenjusz ukrywając twarz w dłoniach — czego on może chcieć odemnie?...

Piotr widząc światło przez szparę we drzwiach, wszedł nie czekając odpowiedzi i zbliżył się do niego.

— Musisz być bardzo nieszczęśliwy, mój biedaku — rzekł kładąc rękę na jego ramieniu — jeżeli zamierzasz opuścić ojczyznę.

— Nieszczęśliwy? — wyszeptał Eugenjusz, podnosząc twarz zalaną łzami — O tak, panie, nieszczęśliwszy od wszystkich ludzi na ziemi...

— Pojmuję to — mówił Piotr — żona twoja była taką dobrą, zacną kobietą. Ale dla czego opuszczasz dziecko, dla czego odjeżdżasz? Jeżeli ci trudno wychować samemu córeczkę, oddaj mi ją. Nie zabraknie jej opieki i troskliwości w moim domu.

— O nigdy, przenigdy, zawołał z nieopisanym przestrachem.

— Dla czego? — zapytał Piotr ze zdziwieniem — alboż nie byłem zawsze twoim przyjacielem i doradcą? Jeżeli zdecydujesz się

— Tak. Nie zobaczyłby mnie przynajmniej tu nigdy w życiu.

— A skądżeby Jerzy mógł dostać taką sumę? zawołał Piotr ze zdumieniem.

— A więc ileżby mógł mi dać, potrzebuję bowiem bardzo?

Piotr spojrzał jej w oczy stanowczem i jak stal zimnem spojrzeniem.

— Jeżeli prosić go będziesz takim tonem, jakim przemawiasz teraz do mnie, to nie da ci nic z pewnością.

Joanna uczuła się dotkniętą.

— Zobaczymy! rzekła zgrzytając zębami.

Wyszła ciskając jeszcze od progu wyzywające spojrzenie.

Piotr przez dni kilka nie mógł się otrząsnąć z przygnębiającego wrażenia, jakie wywarła na nim ta rozmowa. Jerzy był człowiekiem słabego chakteru. Czy zdoła się oprzeć wpływom wytrawnej przebiegłej, a zarazem niepospolicie pięknej kokietki? A wówczas cóżby się stało ze szczęściem Adeli?

VIII.

Drzwi do fabryki były otwarte. Drzwi do gabinetu również. Piotr podniósł opuszczone sztory i rozejrzał się po pokoju. Nie było w nim nikogo.

Przewrócone krzesło i rewolwer, pozostawiony na stole zwróciły jego uwagę.

Ale krzesło mógł przewrócić sam Jerzy w pośpiechu, a rewolwer posiadał wszystkie sześć kul nietkniętych.

Piotr obejrzał uważnie zamki biurka, a nie widząc żadnego uszkodzenia otworzył swoim kluczem szufladę, do której Jerzy wkładał w sobotę pieniądze.

Szuflada była pustą.

— Nieszczęsny! — szepnął Piotr przez zaciśnięte zęby — oddał je zapewne Joannie i teraz jest u niej.

Byle tylko Adela się nie dowiedziała. Wiadomość ta odebrałaby jej dzisiaj może życie, a za dni kilka zdruzgocze na zawsze jej szczęście.

— Co się panu stało! — zawołał doktor Garniers, widząc Piotra wchodzącego do salonu — jesteś pan blady jak płótno.

miałem już zasnąć, gdy wtem zaczął bić zegar. Policzyłem wszystkie uderzenia i zdrzemnąłbym się, ale cóż, kiedy zaczął bić zegar inny, a w chwilę zegar wieżowy wprawił w ruch najdźwięczniejsze swoje trąby. Nigdy przedtem nie słyszałem muzyki bardziej melodyjnej i tajemniczej, zwłaszcza, że przypływała z oddali... Ale kiedy trąbienie zaczęło się powtarzać co kwadrans, zmieniłem cokolwiek zdanie: muzyka zaczęła mi się podobać o wiele mniej. Za każdym razem, kiedy zasypiałem na minutę, jakiś nowy hałas mnie budził. Przebudziwszy się, przez długi czas szukałem kołdry i zwykle znajdowałem ją na podłodze.

Sen ostatecznie uleciał odemnie. Przekonałem się o fakcie, że jestem skazany na czuwanie przez cały ciąg nocy. Nie spałem, miałem febrę i strasznie mi się pić chciało. Przewracając się z boku na bok, schwytałem myśl genjalną: wstać, ubrać się, przejść się po ogrodzie, zapalić cygaro i tak przepędzić resztę nocy. Zdawało się, że będę w stanie ubrać się w ciemności, nie obudziwszy Harrisa. Wprawdzie rozrzuciłem po pokoju buty, ale na noc letnią wystarczyć mogły pantofle. Wstałem i pomalutku zebrałem wszystkie części mojej garderoby, oprócz jednej skarpetki. Jednakowoż nie mogłem się obejść bez niej i dlatego stanąłem na czworakach z jednym pantoflem na nodze, drugim w rękach, lecz skarpetki nie znajdowałem. Stopniowo rozszerzałem krąg moich poszukiwań i ciągle nie przestawałem pełzać po podłodze. Przy każdem zetknięciu ze stołem zatrzymywałem się na chwilkę i nie oddychając, przysłuchiwałem się, czy się nie budzi Harris, poczem pełzałem dalej.

Obszukałem całą podłogę, ale skarpetka przepadła. Nie znajdowałem nic oprócz stołów i stołków bez końca. Nie widziałem z nich żadnego, ale bez ustanku uderzałem głową to o jeden, to o drugi.

Nareszcie powziąłem decyzję, by zaniechać poszukiwań. Wstałem i skierowałem się ku drzwiom, gdy zdało mi się, że się spotykam z odbiciem, jakby z mgłą mojej twarzy.. Na chwilę o mało nie straciłem przytomności, tak straszny był ów obraz mglisty mojego sobowtóra. Odzyskawszy ją, przyszedłem do przekonania, iż zabłądziłem i nie wiem w jakiej stronie pokoju się znajduję. Gdyby w nim było tylko jedno lustro, mógłbym łatwo się orjentować, lecz ich było dwa, a dwa znaczy tyle, co tysiąc. Zaledwie odróżniałem słabe blaski światła w stronie okien, lecz w gorączkowym moim stanie okna przeszkadzały mi tylko, zamiast służyć za przewodników.

Posunąłem się trochę naprzód i przewróciłem parasol, którego upadek spowodował niemniej hałasu, niż wystrzał pistoletowy. Zacisnąłem zęby i zacząłem się przysłuchiwać. Harris się nie ruszał. Ostrożnie podniosłem parasol i postawiłem przy ścianie, gdy znów upadł z jeszcze większym łoskotem. Febra trząść mnie zaczęła i dlatego zapewne i trzeci eksperyment z parasolem nie bardziej się udał niż dwa poprzednie.

Postanowiłem orjentować się w inny sposób i spróbowałem odnaleść drogę, idąc koło ściany, by w ten sposób dostać się do drzwi... Niestety po paru krokach spadł ze ściany obraz. Harris spał spokojnie, nie ulegało jednak kwestji, że jeżeli nie przestanę dalej bawić się w ten sposób, niechybnie spłoszę sen z jego powiek. Lepiej już zostać w pokoju. Gdy tylko znajdę łóżko, odszukam karafkę z wodą i zaspokoję pragnienie, które mnie dręczy.

Jeszcze raz stanąłem na czworakach, gdyż poruszając się w ten sposób, nie spodziewałem się nic zrzucić. Doszedłem do stołu, a stąd z wyciągniętemi naprzód rękami skierowałem się ku łóżku. Natrafiłem na krzesło, potem na ścianę, potem znów na krzesło, dalej na kanapę, na moją laskę alpejską i jeszcze na jedną kanapę. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to nie zmieszało, ponieważ w pokoju widziałem wieczorem tylko jedną kanapę. Żeby się nie zabłąkać, wróciłem do stołu, zawadzając o kilka krzeseł.

Ale w drodze przyszło mi na myśl, iż lepiej może będzie spuścić się na wolę losów. To miało skutek taki, iż z kominka zrzuciłem świecznik, potem lampę, a nareszcie rozbiłem dzbanek z wodą, który upadł, robiąc hałas piekielny.

Harris przez sen zakrzyczał: „Zbójcy! Złodzieje!“ i nakoniec „Ratujcie, bo tonę“.

Krzyki rozbudziły cały dom. Naprzód przyszedł gospodarz w wysokiej szlafmycy ze świecą w rękach, potem syn jego z drugą świecą, dalej kilku z zaproszonych na polowanie gości, a wszyscy w kostjumach nocnych, nie licząc już służby, także tylko na pół ubranej.

Obejrzałem się naokoło. Stałem koło łóżka Harrisa, a wszystkie trudności mojej wędrówki widocznie mi się przywidziały. W pokoju była jedna tylko kanapa i jedno krzesło, około którego krążyłem przez noc całą jak planeta.

Opowiedziałem obecnym moje przygody i przeprosiłem za ambaras, lecz nikt z obecnych już nie położył się, ponieważ jutrzenka błyszczała już na wschodzie.

Machinalnie spojrzałem na krokomierz, który miałem w kieszeni; pokazywał, że przeszedłem podczas tej nocy 17 mil angielskich.

In hoc signo vinces

przez

Juljusza Turczyńskiego.

(Ciąg dalszy.)

Stał tak godzinami... i czekał wpatrzony w on gmach, gdzie się skarb jego mieścił.

Słońce już miało się ku zachodowi, i ostatkiem światła grało po szybach okien, które były od pokoju, gdzie ona właśnie mieszkała.

— Gdyby to dziś wiedzieć mogła, że on tutaj... że o niej zapomnić nie może — myślał sobie, lecz w tej samej chwili przeraził się: bo coby ona powiedziała, widząc, jaki on słaby... Mocno się nad tem zamyślił i uczuł wyrzut w sobie. A słońce tymczasem zdało mu się jakieś wielkie i gniewne, jak gdyby żółć swą wylać usiłowało, a nadbiegłe dokoła obłoki groziły pochłonięciem... Ono było jeszcze jakiś czas na zachodzie — potem zapadło, a obłoki dokoła poczerwieniały.

— Czuję się trochę znużony nocną jazdą — odparł Piotr z zakłopotaniem.

Doktor był światowym człowiekiem, zrozumiał przeto, że pytanie jego było niedyskretne i ugryzł się w język.

— Czy będę mógł zobaczyć się z p. Chaniers przed odejściem? — zagadnął po krótkiej pauzie.

— Szwagier mój wyszedł z domu.

— Tak wcześnie?... nie widząc się z żoną?

Piotr nie odpowiadał, lecz na twarzy jego malowało się coraz silniejsze zakłopotanie.

— Kiedy przyjdziesz znowu, doktorze? spytał.

— Późno wieczorem. Żegnam pana.

W chwili, gdy doktor odszedł, pani Nouvailles zbliżyła się do Piotra.

— Pani czuje się bardzo zaniepokojona i chciałaby się zobaczyć jak najrychlej z mężem.

— A! — wyrwał się okrzyk pełen trwogi z piersi Piotra de Sauves.

— Co mam odpowiedzieć pani? — pytała stara, topiąc przenikliwe spojrzenie w twarzy Piotra...

— Ależ prawdę — odparł młody człowiek, zauważywszy to spojrzenie ciekawe. — Powiedz pani mojej siostrze, że Jerzy wyszedł dla załatwienia bardzo pilnego interesu, dla którego i ja muszę udać się w ślad za nim.

Piotr wziął rzeczywiście kapelusz i poszedł na ulicę Mosniers, przy której mieszkała Joanna Desbours.

Nie zastał jej w domu i czekał na nią do 11. godziny. Weszła nakoniec do pokoju promieniejąca radością.

Na widok Piotra wąskie jej brwi zsunęły się, oczy błysnęły złośliwym blaskiem.

— Pan tutaj? — zawołała — komu lub czemu mam przypisać ten zaszczyt?

Nie lubiła Piotra, który krzyżował nieraz jej plany i marzyła zawsze o zapłaceniu mu pięknem za nadobne.

— Joanno — rzekł stłumionym głosem Piotr, którego myśl o siostrze wzruszała do głębi duszy — Joanno nie godzi się tak postępować!...

Koszta podróży agencja brała na siebie i dawała mu sporą kwotę w formie zaliczki.

Gages przyjął nie namyślając się.

— Do kogo mam się zwrócić po informacje? — spytał urzędnik.

— Do pana Piotra de Sauves, dyrektora fabryki przy ulicy Belleville.

— Dobrze. Dziś jeszcze tam poślemy. Jeżeli opinja pana de Sauves będzie przychylną, możesz pan zgłosić się jutro rano, a 4. być już w Hawre, skąd okręt odpływa 5. czerwca.

— Ależ to dziś mamy 3-go — zauważył Gages.

Urzędnik rzucił okiem na ścienny kalendarz.

— A tak — odparł obojętnie i wrócił do przerwanej roboty.

Eugenjusz wstąpił do składu mebli, którego właścicielowi, a dawnemu swemu znajomemu, sprzedał wszystkie swoje graty i wrócił do domu.

Dobra pani Lureau poiła mlekiem dziewczynkę. Dziecko było na prawdę zachwycające. Szafirowe prześliczne oczęta świeciły jak habry wśród różowej twarzyczki, na drobne czoło opadało pasmo jedwabistych, miękkich jak puch włosów, a delikatnie zaokrąglony podbródek przecinał dołek rozkoszny.

— Jakaś pani dobra, naprawdę — rzekł Eugenjusz, rozglądając się ze wzruszeniem po świecącem czystością i porządkiem mieszkaniu — kiedy i jakim sposobem potrafię się wywdzięczyć za tyle życzliwości? Będzie to dla mnie tem trudniejszą rzeczą, że pojutrze odpływam do Ameryki...

— Jakto, a mała? — przerwała ze zdziwieniem pani Lureau.

— Jej nie zabiorę ze sobą, bo toby było niemożliwem.

— A więc cóż zrobisz?

— Agencja amerykańska, z którą zawarłem przed chwilą umowę, daje mi na koszta podróży, wypłaca tysiąc pięćset franków zaliczki i zapewnia wcale dobry zarobek na półtora roku. Otóż zaliczkę przeznaczam dla małej na zapłacenie w pierwszym rzędzie mamki, a następnie nauki rzemiosła w jakim zakładzie, gdzie będzie mogła pozostać do mego powrotu. Jeżeliby tych pieniędzy nie wystarczyło, przyślę więcej.

— Troskliwość twoja o dziecko przynosi ci zaszczyt panie Gages — zauważyła kobieta z uznaniem. A może i ja będę mogła

Bohater nasz patrzał w tę wielką, krwawą otchłań na zachodzie i zdawało mu się, że czuje tu niejako gniew dziś przyrody.

Stojąc tak, nie uważał, jak się od chwili chłopak jakiś w niego wpatrywał, niepewny, czy może się przybliżyć...

Nareszcie głos go doszedł: *Bihme!... To bo nasz panycz?...*

Popatrzył i poznał Hnatka, który przez tę lat parę wyrósł w chłopaka; odmienił się, bardziej jeszcze wychudł, głos zaś miał dziś niższy i nieco chrypliwy. Na chmurnem obliczu chłopca, zawcześnie w zmarszczki na skroni pofałdowanem jaśniał w tej chwili uśmiech na widok swego dawnego dobrodzieja. A chociaż potrząsał łachmanami i oczy miał popodbijane, choć kolana świeciły nagością, mimo to zdawał się być wesołym, teraz przynajmniej.

Adam się nieco zawstydził, że chłopiec go dziś na tem miejscu zastał — zanim zdołał dać jaki taki pozór swojej tutaj obecności, odezwał się chłopak:

— *Panycz nazad do nas powernuły?... Sława naj bude Bohu!*

Adam, zebrawszy jakoś mysli, złożył na to, że przejeżdżał tędy niedaleko, zboczył też, ażeby przecież od kogo się dowiedzieć, co tu się dzieje w tym dworze... czy też wszyscy zdrowi? Wszak tutaj tak długo przebywał?...

— *To panycz ne budut u nas?*

I tu mocno się zasumował chłopak, oblicze zaś się jego ściągnęło i więcej teraz wyszło na czoło zmarszczków, choć on zaledwie kilkanaście lat liczył. Nędza i niewygoda, niechęć a gniew tajony, obliczu nawet dziecka wyraz dają zgrzybiałości. Na twarzy zaś wychudłej, szczęka nieco wystająca, przy zębach zdrowych, białych, więcej jeszcze dodawała wyrazu jakiegoś niemiłego.

Adam też zapytał się czemprędzej o zdrowie pana Żegiestowskiego i jak też mu się powodzi...

Chłopak się zdziwił, nie mogąc pojąć, żeby się panu inaczej kiedy mogło powodzić... Pan jest panem, a jako taki nie podlega temu, co mogłoby dokuczać „ludziom“.

— A jak się miewa pani wasza?

— Pani?... Ta, jak pani. *Ony tam w pokojach swoich... czasom i na dwori, koły majut' szczo rozkazaty służbi...*

Adam w ten sposób krążąc, zbliżał się do właściwego pytania, o które mu teraz chodziło. Po chwili zatem zapytał się drżącym głosem o pannę w tym domu.

— *Panna?... Taże ich nema?*

W piersi Adama zaczęło bić, jakby młotem.

— A... gdzie .. jest? Czy może... wyjechała?

— *Ta, jakby ony ne wyichały?... Preciń zo swoim panom.*

Adam był cały blady.

— Z kim, mówisz?

— *Ta, jakby z kim?... Preciń na swoje panowanie... zo swoim panom.*

Bohater nasz poznał, że Hortenzja już została mężatką.

I zrobiło mu się tak jakoś żałośnie na sercu, tak marno na duszy, że nie wiedział, co już myśleć...

Nareszcie sam siebie się wstydził, że go to dzisiaj tak dojęło... Wszak nie mogło być inaczej: wie przecież, że panny są na to, by za mąż wychodziły, po woli lub po niewoli... a jeśli ona dziś szczęśliwą.

Tu sam ze sobą był w rozdwojeniu. On jej zawsze był życzliwym i więcej niż życzliwym: winien przeto rad być z jej szczęścia dzisiejszego; mimo to mówiło mu coś w piersi, że wolałby, gdyby ona dziś nie całkiem czuła się szczęśliwą.

I wyrzucał sobie, żeby mógł mieć chęci podobne...

Mimo to zapytał się chłopca, czy panna dziś szczęśliwa... jak też o tem mówią?...

— *Ta, jakby ni?... Teper je panew, jako jeji maty... Maje swij dwir, zo swoim panom. A jakie wam tu buło wesile!... Syła buło paniw, a firmaniw, a konej!... A jak wam oświtłeno wsi pokoi! to bo jak na wełygdeń, w kościoli mijskim.*

Chłopak tak dalej prawił — a bohaterowi naszemu zrobiło się bardzo smutno na duszy, że tak wszystkie przechodzą marzenia ludzkie. Atoli inaczej być nie mogło. Wstydził się sam siebie... A gdy mrok już na dobre zaczął się zgęszczać, gdy ciemności zewsząd nadciągały wielkiemi masami, musiał zabierać się do powrotu.

Chłopak, widząc to, rzucił mu się do nóg, błagając, żeby go wziął ze sobą, bo mu za nim zawsze bardzo było *sumno*... a tu mu tak źle... wszyscy nad nim zbytkują... Lokaj bije, klucznica znów swoje... w lecie, w zimie, w tym samym chodzi przyodziewku. Lecz żeby mu dali nawet kożuszynę i *czoboty* nowe, onby wolał zostać *z panyczom, chotiajby w soroczci.*

Adam wystawiał mu, że to teraz niepodobna... Może późn ej...

Chłopak się tymczasem przynajmniej wypytał, w którem to dziś miejscu *panycz jeho perebuwaje*... szlochając zaś długo jeszcze poglądał za odchodzącym swoim dobrodziejem.

Bohater nasz wracał dziś sam ze siebie niezadowolony; wyrzucał nawet sobie, że się tak mógł zapomnieć.

XVI.

Gdy Adam ujrzał się na drugi dzień w szkółce, otoczony gwarliwym rojem dziatwy, uczuł w sobie napowrót siłę i postanowił dziś całkowicie oddać się tylko szkole i oświecaniu ludu. Z tych maluczkich będą kiedyś ludzie... przyszła to generacja kraju tego! I toć w jego dziś rękach!...

W tem czerpał nową energię do dalszej pracy.

Lud, z początku niechętny, widząc teraz nauczyciela pracującego nad ich dziećmi, stawał się coraz mniej szkole nieprzyjaźnym. Nie powiemy, żeby się dziś zapatrywał na tę kwestję, jak to życzył sobie nasz bohater — jednak już nie było w nim wstrętu do szkolnictwa.

Gdy zaś pewnej niedzieli, niespodzianie, podczas odprawy w cerkwi, maluczki chór z dzieci wyuczony, zaśpiewał pieśń nabożną, a słodkie, dziecięce głosy rozeszły się po przybytku Pańskim, oglądnął się pleban — i światełko jakieś błogie rozlało się po obliczu starca.

Lud zaś zgromadzony był zdziwiony — i pozierał z uwielbieniem na dziatwę śpiewającą. Patrzali na nauczyciela z pewnem nabożeństwem, iż to on był, który sztuki tej dokazał.

Zaraz nastała też nie mała zmiana.

— Na szczęście organizację ma nadzwyczaj silną, inna byłaby już umarła na jej miejscu — mówił doktor, opuszczając nad ranem łóżko chorej, przy której czuwał od wieczora. — Dla czego jednak nie zawiadomisz pan policję o zniknięciu Chaniersa?

— O doktorze! — zawołał Piotr z widocznym wstrętem.

— Kiedyż bo ta długa nieobecność zaczyna mię niepokoić.

— I mnie również. Uważam jednak wtajemniczanie policji w sprawy prywatne za rzecz niebezpieczną.

— Za niebezpieczną! I to pan mówisz? pan, którego życie nie ma żadnych stron ciemnych?

Piotr mając ciągle na myśli, że Jerzy znajduje się u Joanny Desbours, nic nie odpowiedział.

— Wierzaj pan — nalegał doktor — że rada moja jest dobrą i spełnij ją.

— Namyślę się, odparł Piotr wymijająco.

Nie miał wszakże czasu do namyślania się, bo trzeba było postarać się o pieniądze na weksle wobec tajemniczego zniknięcia trzydziestu ośmiu tysięcy z biurka. Kasjer po kilkudniowej nieobecności miał zaległą robotę. Piotr więc sam musiał iść do banku pana Gerarda.

Pomimo całego panowania, jakie miał nad sobą, plątał się w odpowiedziach, jakie dawał bankierowi.

— Co się stało panu de Sauves? rzekł tenże zwracając się do swego sekretarza po odejściu Piotra. — Wygląda tak, jakby był chory lub nieprzytomny.

— Poniósł zapewne znaczną stratę w fabryce. W przeciwnym bowiem razie nie żądałby od nas dzisiaj czterdziestu tysięcy franków po podniesieniu w sobotę czterdziestu trzech tysięcy.

— Przypuszczenie pańskie jest zapewne słuszne. Swoją drogą dziwne zrobił na mnie wrażenie.

IX.

Po odprowadzeniu zwłok Pauliny na miejsce wiecznego spoczynku, Eugenjusz udał się wprost do domu komisowego, który zamawiał i wysyłał fachowo uzdolnionych robotników do Ameryki.

Warunki, jakie mu tam ofiarowano, wydały mu się korzystne. Pensję miał pobierać półtora razy większą niż w Paryżu.

Joanna domyśliła się, że chodzi o jakąś tajemnicę, o której nie wiedziała, zbyt była przebiegłą wszakże, aby dać to poznać po sobie i odparła lekceważąco:

— Czegoż chcesz, mój drogi, trzeba się bronić jak można!...

— Siostra moja jest słabą, a ty wydzierasz jej męża.

— Jakto? — spytała Joanna nie umiejąc na razie zapanować nad zdziwieniem.

— Nie udawaj, proszę cię!

— Nie widziałam się oddawna z Jerzym — odparła Joanna głosem, który zaprzeczał słowom.

— Joanno, daj mi słowo, że nie wejdziesz nigdy w drogę mojej siostrze, a zrobię wszystko, co zechcesz.

— A dasz mi owe sto tysięcy franków, abym się mogła przyzwoicie urządzić w Rjo-Janeiro?

— Nie posiadam ich, a więc i dać nie mogę, ale daję ci słowo, że nie będę domagał się od ciebie zwrotu owych trzydziestu ośmiu tysięcy, które Jerzy dał ci wczoraj wieczorem.

— O, co do tamtych — zawołała Joanna drwiąco i tajemniczo zarazem — wątpię bardzo abyś mi zdołał je odebrać.

— Nie będę nawet próbował, ale zaklinam cię na wszystko, daj mi słowo, że nie będziesz się starała widywać z Jerzym!

— Jesteś bardzo miłym człowiekiem, panie Piotrze! — zawołała ze śmiechem Joanna — żal mi więc, że nie mogę dłużej z tobą rozmawiać, ale o dwunastej mam być na śniadaniu u Hillsa, a literalnie umieram z głodu.

De Sauves wracał do domu z sercem ściśniętem boleśnie. Wbrew swemu oczekiwaniu nie zastał tam jeszcze szwagra.

Dzień cały upływał mu w trwodze i niepokoju. Adela coraz natarczywiej żądała wyjaśnień. Trzeba więc było w dalszym ciągu wmawiać w nią, że pan Chalandon wezwał go dla ważnych zamówień.

— O której więc godzinie może wrócić, jak sądzisz? — pytała Adela.

— Wkrótce zapewne.

—Bądź tak dobry i poproś go, aby natychmiast przyszedł do mnie, skoro tylko wróci.

— Z całą przyjemnością spełnię twe życzenia.

W połowie wieczora nadszedł doktor Garniers.

Pleban zbliżył się po mszy do nauczyciela i uścisnął go za rękę, z całą serdecznością; ojcowie zaś i matki, zbliżali się, jedni po drugich, dziękując panu nauczycielowi, że im tak pięknie dzieci wyuczył. Kobiety błogosławiły Adamowi; chciały go nawet w ręce całować.

Odtąd inaczej lud się zapatrywał na pracę nauczyciela.

Teraz nie brakło mu na ławeczkach, czysto zrobionych. Piec inny postawiono; obiecano dać i podłogę, gdyż *panycz* taki *delikatnyj* nie może tak siedzieć, jak oni.

A choć on taki blady, i często pokaszluje, mimo to pracuje nad ich dziećmi.

Pleban teraz pierwszy raz zajrzał do szkółki Adamowej — a rozochocony, zaczął się dzieci wypytywać o niektóre prawdy religijne. One tak jasno i zrozumiale odpowiadały, że księżyna się zdziwił. Przecież on sam w niedzielę, po służbie bożej, taką mądrą zawsze miewa naukę dla starszych parobczaków i dziewek, a te nie mają tyle jasnego wyobrażenia, co ta dziatwa drobna. Ba! ale stary księżyna nie znał tego sekretu, co nasz młodzieniec: stary miał do swoich słuchaczy kazanie, nie bardzo dla ich mózgów przystępne; — słuchało to zatem, ze skruchą wprawdzie i miną poważną, lecz co tam w głowach tych ze słów księdza pozostał, Bóg raczy wiedzieć!... Nauczyciel zaś nasz młody używał tu metody innej: on przemawiał językiem, objaśniając wszystko porównaniami z zakresu ich wyobrażeń.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nowe odkrycie astronomiczne.

Było to już ułożone raz na zawsze pomiędzy panienkami, że każda z nich podczas wieczornej pogadanki w pensjonacie ma opowiedzieć jakąś miłosną przygodę, która jej samej się przytrafiła. Gdy pod koniec wieczoru przyszła kolej na pannę Ewelinę Liwelin, ta zaczęła w te słowa:

— Niegdyś...

Niegdyś! Czy słyszycie państwo? Niegdyś! W piętnastym roku życia! Ona miała już swą przeszłość, ta drobna istotka, która jeszcze przeskakiwała przez sznur w krótkiej sukience, a co wieczora z całą powagą życzyła dobrej nocy swej lalce i która nie powinna była wiedzieć, o co pytają młode panny stokrotek. Przeszłość, tak jest, i Ewelinka miała słuszność, gdy na wybuchy śmiechu starych pensyonarek (osądźcież sami! ośmnaście lat! panny na wydaniu!) odpowiedziała pogardliwem poruszeniem ramion i wytworną lekceważącą minką. Albowiem w każdej duszy, choćby najbardziej świeżej i najbardziej naiwnej istnieją, jakby wyblakła aquarela lub zatarty pastel, serdeczne wspomnienia z przeszłości. Żadna miłość nie jest pierwszą miłością. Przed początkiem miłości rozciąga się nieskończoność kochania. Serce jest wiecznem. Zanim zaczęło przemawiać — miało epokę niemowlęcego paplania — przed paplaniem istniały poszczególne dźwięki, przed nimi były westchnienia, które poprzedzały marzenia, a przed tymi był tylko ślepy inkstynkt. Pierwsze zaś jego uderzenie nie było bezwątpienia niczem innem, jak odruchem namiętności poprzedzającego istnienia.

A gdzież opowieść Ewelinki? Oto jest.

I.

Pewnego razu w czasie wakacji — Ewelinka miała wowczas 14ty rok — zapragnęła posiadać teleskop. Ach! zapragnęła chęcią gwałtowną, nie znoszącą oporu, nie słuchającą odmowy, choćby słusznej. Zkąd powstała ta chęć? Czy może wracając z lasku zobaczyła olbrzymi teleskop, ustawiony na placu Concorde, dostępny dla ciekawej publiczności? Czy też była na jednym z wieczorów w Obserwatorium, gdzie młode panie z obnażonemi ramionami i wyciętemi sukniami, rozgrzane walcem, dążą wśród miłej wrzawy wpatrywać się w sklepienie niebios i podziwiać gwiazdy rozsiane na lazurowem tle? Czy może w chwili zachwytu, gdy wśród pięknej nocy, z głową wspartą o poduszki wpatrzona w migocące po przez białe muśliny firanek gwiazdy, marzyła o nieznanych nikomu planetach, powstała w niej fantastyczna chęć poznania tajemniczego świata? Ewelinka nie tłómaczyła się wcale. Chciała i koniec, czyż nie najlepsza to racja?

Dostała teleskop, który umieszczono na balkonie pałacu.

Olbrzymi z czerwonej miedzi i czarnej skóry, spoczywał na swej podporze, kształtem do litery X podobnej, jak armata na lawecie i zwracał ku niebu swój okrągły otwór, jak działo swą paszczę! Ewelinka jeszcze mniejsza wobec olbrzymiego instrumentu podziwiała go obchodząc dokoła: czasem dumna z posiadania go z zachwytem kładła nań swą rączkę z miną drobniutkiej czarownej wróżki, która poskromiła potwora.

II.

Pierwszego jednak wieczoru nic nie zobaczyła przez teleskop. Może był źle ustawionym, a może nie znając sposobu kierowania, a nie chcąc przez dumę nikogo się radzić, nie umiała zastosować przyrządu odpowiednio do odległości przedmiotu badań. Cokolwiek było, dość że nie widziała nic zgoła. Napróżno sklepienie jaśniało niezliczoną ilością gwiazd, napróżno z zaciętością spędziła więcej jak godzinę czasu i wspinając się na końce palców z jednym okiem zamkniętem, drugiem przyłożonem do szkła, jakby przez dziurkę od klucza zaglądała w przestrzeń i odróżniała tylko na końcu czarnej przestrzeni jakąś mętną, niepewną jasność, ledwie widoczną.

O! co za gorzki zawód! nie zraziła się nim jednak wcale.

Drugiego wieczoru wymknęła się szybko z jadalnej sali i zabrała się do dzieła z namiętnym zapałem. Z całą siłą drobnemi rączętami podnosiła, spuszczała, obracała na prawo, na lewo, rozsuwała i ściśniała spojenia w lunecie: niestety zawsze ta sama zmącona, nieprzeźroczysta jasność i nic więcej. Jakto! z tylu gwiazd, któremi jak złotym piaskiem całe niebo zasiane, żadna nie miałaby ukazać się jej z bliska w całej okazałości? Tupała nóżką, zaciskała piąstki z gniewu i nawet wyrzucała instrumentowi, że jest do niczego. Wreszcie znużona usiłowaniami, nie wiedząc co ma już czynić, zdecydowała się zejść do salonu i zażądać pomocy ojca. Ach ileż ją kosztować będzie to przyznanie się do swej nieporadności! Lecz by nie mieć sobie nic do wyrzucenia raz jeszcze przykłada oko do otworu i oto o radości! — zobaczyła, tak zobaczyła najwyraźniej, nie tylko powiększoną gwiazdę, ale na niej człowieka.

(Dok. nast.)

— Jak się miewa pani Chaniers? spytał Piotra.

— Jest zaniepokojoną?

— Czem?

Piotr zawahał się. Doktor wszakże powinien był wiedzieć o wszystkiem, aby leczyć skutecznie.

— Nie umiem sobie tego wytłómaczyć — mówił niepewnym, stłumionym głosem — ale szwagier mój oddalił się z domu, nie wyjawiwszy nikomu powodów nagłego zniknięcia. Nie widziano go już tutaj od wczoraj, to jest od chwili, gdy wyszedł razem z panem po szczęśliwym przyjściu na świat dziecka.

— I pan, jego przyjaciel nie możesz się domyśleć powodów tak zagadkowego postępowania?

Piotr zawahał się znowu. Czy miał wspomnieć o Joannie? Ale to by znaczyło tyle, co złożyć przyszłość i szczęście Adeli w ręce obcego człowieka, któryby jednem słowem, nierozważnie wypowiedzianem, mógł je zniszczyć na zawsze.

— Nie — odpowiedział po krótkiem milczeniu — nie umiem sobie wytłómaczyć postępowania Jerzego.

— Zaczekaj pan! — zawołał nagle doktor — może ja dopomogę choć w części do wyjaśnienia tej dziwnej zagadki.

I opowiedział, jak Jerzy odprowadzając go do bramy ujrzał światło w kantorze swoim w fabryce i zaniepokoił się tą okolicznością.

— Chciałem mu towarzyszyć na miejsce dla sprawdzenia, co by to być mogło, lecz odrzucił moją propozycję, mówiąc: „to zapewne Piotr wrócił z Hawru, bo tylko on posiada drugi klucz od kantoru.“

— Przerażasz mię doktorze — wyszeptał Piotr blednąc.

— Bo też rzeczywiście szwagrowi pańskiemu mogło się wydarzyć jakie nieszczęście.

—Cóż powiem, nieszczęsny, siostrze, która co chwila zapytuje mię o niego?

— Nad tem wypada dobrze się zastanowić, bo gorączka wywołana niepokojem, może ją zabić.

— Chodźmy do niej, doktorze!

— Czy Jerzy wrócił? — było pierwszem pytaniem, z jakiem Adela zwróciła się do wchodzących.

— Nie jeszcze, Adelo — odparł Piotr — pan Chalandon zabrał go zapewne przemocą na wieś ze sobą... Wiesz przecie, że ma usposobienie cokolwiek despotyczne.

— Tak, ale posiada zarazem dobre serce, gdyby mu więc Jerzy był powiedział, że wczoraj wieczorem urodziła się nam córeczka, nie byłby go wywoził z Paryża.

— Uspokój się, pani. perswadował doktor. Wszak jednodniowa nieobecność pana Chaniers, nie może być uważaną za nieszczęście.

— Proszę cię — mówiła Adela, zwracając na brata błagalne spojrzenie pięknych, a teraz zwiększonych jeszcze cierpieniem oczu. — proszę cię, idź dowiedzieć się do pana Chalandon, jeżeli nie chcesz, abym umarła z rozpaczy.

Piotr pobiegł znowu do mieszkania Joanny Desbours.

Nie zastał jej w domu, lecz zjednał sobie przy pomocy kilku luidorów zaufanie stróża, który mu powiedział, że Joanna wyjechała w towarzystwie jakiegoś pana na dłuższy czas na spacer za miasto, gdyż słyszał, jak wołała do stangreta: „Na dworzec Lyoński, a spiesz się!

— Jak wyglądał pan, który po nią przyjechał?

—Nie wysiadał z powozu i zdawał się chcieć ukrywać przed ciekawymi, mogłem więc tylko zauważyć, że był jasnym blondynem, o różowej i świeżej cerze.

— Z zarostem czy też bez zarostu?

— Miał tylko wąsy, ale bardzo długie.

Piotr drgnął, opis ten bowiem zgadzał się najzupełniej z powierzchownością Jerzego.

— Czy ten pan często tu bywał dawniej? spytał jeszcze.

— Widziałem go dzisiaj po raz pierwszy.

Piotr nie wątpił już teraz.

— Jerzy oszalał — szepnął do siebie, odchodząc.

Wracał do domu z rozpaczą w duszy. Bezgraniczna wszakże miłość dla Adeli pozwoliła mu zapanować nad wzruszeniem i opowiedzieć jej z wesołą twarzą ułożoną jakąś po drodze bajeczkę.

— O! — wybuchnęła młoda kobieta, załamując rozpaczliwie piękne blade ręce — nie mówisz mi prawdy, ukrywasz coś przedemną.

Pomimo perswacji Piotra, dostała gorączki i przez całą noc majaczyła.